Ner 26.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 16 grudnia 1843. Rok czwarty.

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301., we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 2 grudnia 1843.

Stroje damskie. Z pomiędzy artykułów służących do ozdób stroju, a które się w takiej ilości pojawiły w tym roku, zajmują pierwsze miejsce axamitne korunki, wynalazek p. *Rion*, korunki te wyrabiane w najrozmaitszych odcieniach, mają połysk najpiękniejszego axamitu a oraz trwałość jaka nic do życzenia niezostawia. Służą ony za najpyszniejszą ozdobę płaszcza, mantyli lub sukni axamitnej, i właśnie na tej tylko materii najkorzystniej się wydają. Wyprawy jakie tu przygotowują w tej chwili w pierwszych pracowniach, składają się między innemi z bardzo gustownych sukień od wielkiego stroju, w kolorach najrozmaitszych, a najwięcej z pekinowych materij. Najładniej wydaje się pekin kamelerowy jak najmocniej się mieniący z czarnym kolorym; na suknie od wyjścia najwięcej są używane axamity w deseń, przy których stanik dość długi, wysoko zachodzący pod szyję i obcisły. Redyngociki ozdobione są taśmami i guzikami brandeburskiemi; suknie balowe są zwykle wykładane, co górnej części stroju niemało wdzięku dodaje, rękawy zaś są małe. Spodnica bywa różnie ozdobiona, na tarlatanie i materiach przezroczystych dobrze się wydaje marabu lub pąkowie kwiatów w gałązkach pojedyńczych, odpowiednio ubraniu głowy, które najczęściej z dwoch bukietów się składa.

Uwagi godne co do ubrania głowy, że takowe z każdym dniem zdają się posuwać więcej ku czołu, gdy tymczasem ubranie tyłu głowy czyli tak zwana plecionka coraz się bardziej rozszerza, a to wbrew niezbyt dawno panującej modzie która jej ostatecznie groziła. Za plecionką ujęło się spaniałomyślnie znaczne grono elegantek, i takowa utrzymało się zwycięzko.

Na negliż ubierają się tu powszechnie w kapotki czarne podszyte fioletową bladoniebieską lub też różową kitajką. Od wyjścia służą kapelusze z różowego atłasu, ozdobione wstążkami i bogatą korunkową zasłoną; kapelusz z atłasu popielatego ozdobiony długiem piórem kapotki axamitne z obwódką podszytą; ukosami z atłasu niebieskiego, ozdobione piórem rajskiego ptaka koloru trochę jaśniejszego.

Rycina przedstawia: suknię z mieniącego pekinu, z przodu szemerowaną, kapelusz i ubranie tej sukni axamitne; druga figura płaszcz axamitny wstążkami karbowanemi ubrany; trzecia figura szlafroczek ranny z kaszmiru, w przodzie sznurowany, atłasem pikowanym wyłożony; stanik z kołnierzem podobnie sznurowany, na głowie negliżyk.

Stroje męskie. Zimno które teraz tu panować zaczęło, wrzuciło tutejszych modnisiów w szerokie i dogodne chociaż niezbyt nadobne stroje; takiemi są paletotsaki, brane najczęściej na surdut o dwoch rzędach guzików, a pod tym kamizelka długa i taksamo zapinana. Drugim ubiorem jest twina, brana po wierzchu fraka, pod którym kamizelka biała, wykładana, także z dwoma rzędami guzików.

Kamizelki białe brane są także do surduta. Takie ubranie służy aa małe wieczorne zabawy, które w tej chwili są tu powszechne, zowią się półstrojem.

Rycina przedstawia: frak najnowszego kroju, tudzież mundur szasera francuskiego. Rysunek tego munduru załączony jest na dzisiejszej tablicy, z którego każden majster krawiectwa będzie mógł korzystać; zbliża się on do mondurów krajowych według nowozaprowadzonej odmiany.

WILIA ŚWIĘTEGO JĘDRZEJA.

Już po wszystkich oknach zabłysły wieczorne światełka w małem miasteczku K*. W tych tylko, gdzie zwykle żywszy blask nad inne jaśniał, dziś jakby duch żałobny ociemnił śklanne przezrocza. Jakiś urok tajemniczy zdawał się osłaniać dom cały. Przechodzień, któremu jeszcze wczoraj bijąca z okien jasność ubezpieczała kroki, dziś zwalnia chodu, idzie ostrożnie i wpatruje się w ponure mury, chcąc zbadać tajemniczą ciemność. Wewnątrz wysmukła panienka krząta się około okien, zasuwa, spuszcza firanki, a gdzie światełko chce rzucić szparką swój promień, wyrywa szpilki utrzymujące przepaskę jej wiotkiej kibici, i zazdrośnie spina, spaja zasłony, byle tylko niewymknął się promyk światła za mury; mniemałbyś, że to kapłanka eleuzyjskich tajemnic, przestrzegająca, aby z świetnych podwoi nieprzedarł się promień troskliwie tajonej mądrości. — Młoda pani M*, patrzy z uśmiechem na usiłowania swej siostry, przechodzi się po ładnym saloniku, i jakby na przekorę objaśnia światła i podnieca blask ich.

»Ach Zofio! dajże pokój, zgubisz mnie!« zawołała ładna panienka »jak będzie tak jasno, to ani firanki, ani moja przezorność niepomoże, będą wiedzieć, żeśmy w domu. On — wtem lekki płomień przemknął po jej licach — on zawsze przechodzi tędy, on taki rzetelny, a ja kłamstwo popełniłam przed nim, niewinne, nieszkodzące, ale zawsze kłamstwo. Śmiałby się znowu ze mnie, a może i gniewał. On zawsze powiada, że nic tak bardzo złego we mnieniema, coby się niedało poprawić; ale te moje zabobony, gusła, przeczucia, co mnie tyle nieraz niepokoju nabawią, trudno ze mnie wykorzenić. Pamiętasz, kiedym przeszego tygodnia wybiegła naprzeciw niemu, wyznając, żem już wiedziała o przybyciu miłego gościa, bo ogarek bukowy prysnął na sam środek pokoju, — on czemprędzej zbiegł po schodach napowrót i powiedział, żem się bardzo omyliła, bo dwa dni niebędzie miłego gościa — i ogromnie długie dwa dni nieprzyszedł.«

»Oj bałamutko! bałamutko! Ja ci znowu powiadam, że twoja wada największa, która się widzę wykorzenić nieda, jest, że za nadto kochasz tego mentora Alfreda. Prawda, że narzeczony, ale wszelako za nadto sobie pozwala, i zawczasu zamienił rolę kochanka na rolę gdyrającego męża«.

»Ale on mi to zawsze tak miło nagrodzi« rzekła zcicha Eugenia.

»No, no, niechże i tak będzie; jednak ja wiem, że po dzisiejszym wieczorze będą nowe smutki, niepokoje, a potem wszystko sama przed nim wypowiesz, co dziś tak starannie ukrywasz«.

Przerwała tę rozmowę dwoch sióstr wchodząca pani Cechowa, niosąc ogromnę donicę napełnionę wodą; a stawiając ją z tryumfalną powagą na stole, rzekła z przyciskiem: »niech sobie jak kto chce mówi, a ja z piędziesięcioletniem doświadczeniem powiadam, że co się dziś wykryje, odsłoni, w to każda panna powinna wierzyć święcie, zapisać w pamięci dobrze, albo i na karteczce, jak się komu podoba, i zmówić trzy ojcze nasz na podziękowanie, że tak mizernemi drogami opatrzność pozwoliła nam tak ważne rzeczy odkrywać. Niebyłabym Cechową, mieszczką z grodzkiego miasta Biecza, a teraz klucznicą wielmożnej pani, jeżeli tak się nie stanie« — i uderzyła w stół ręką. Wtem drzwi się roztwarły, a grono ślicznych panienek wsunęło się do pokoju, nie tak jak zwykle z hałasem i śmiechem, ale cichutko, tajemniczo, aby schadzki nie zdradzić. Wszystkie radośnie powitały Eugenią; a troche nieśmiało dobrą, pobłażającą panią M*.

»Dobrze żeście już przyszły, moje kochane panienki« rzekła z przymileniem pani M* »bo moja stara sybilla już ma dla każdej z nas wyrocznię na ustach. Oby wasza dzisiejsza zabawka w moim domu miłe wam wróżby przyniosła! a gdyby i co nie podług życzenia wypadło, wierzcie, iż to tylko zabawka, niemająca żadnego związku z rzeczywistością«.

»Otóż jest, otóż jest« — zawołała pani Cechowa — »jeżeli tak wielmożna pani panienki przygotuje, za nic moja wiadomość i mozoła. Za moją pracę chcę przynajmniej wiary — ja przecie niedzisiejsza — a jeżeli mnie niewiara, to może będzie pannie Gertrudzie. Panno Gertrudo! panno Gertrudo! chodźno mnie panna wspomóż przeciw niedowiarstwu jejmościnemu, aby oświecić i do wiary przysposobić te niewinne panienki.« — Wtem wysunęła się z drugiego pokoju smętna, wysoka postać panny Gertrudy.

»A co?« rzekła klucznica »czy nieprawda? wszakże już trzydzieści lat obchodzi panna z wszelkiemi ceremoniami wilię ś. Jędrzeja, a jeszcze nigdy postać panny, przedstawiona w zapalonym lonku, niedoczekała się, aby kto poleciał za nią, choć panna sama buja w powietrzu, podlatuje, zachęca, aż wreszcie tleje, tleje, niknie, ginie sama, samiuteńka, bez nikogo — i otoż, przypatrzcie się panny« — dodała wskazując na pannę Gertrudę — »czy nie tak jest, nie tak się dzieje?«....

Śmiech pusty przerwał gorliwą w swojej sprawie panią Cechowę; nadaremnie usiłują nasze piękne guślarki poskromić wesołość niewczesną w tak uroczystej chwili, i tak mieszającą biedną pannę Gertrudę, iż słowa przemówić niemogła, dając tem oczywiste świadectwo słowom pani Cechowej. — Eugenia przyszła jej w pomoc i zawołała prędko: »cioclu! cioclu! bo pani Cechowa zapomniała tym panienkom powiedzieć, że zawsze jakieś przeszkody wstrzymywały lonek, żeby za ciocią nieleciał«.

»Tak, tak, to prawdę mówi panna Eugenia, zawsze jakaś przeszkoda. Raz perłowa krupa zawinęła się w lonek w szpiżarni, i tak przez ociężałość podnieść się niemógł; to znowu panna zapaliła się nadto prędko, wyleciała, a on pomału się wznosił, pannie niechciało się długo czekać, spuściła się do niego raptem — a on, jakby się przeląkł, jak świśnie w górę.... oho, już go ludzkie oko więcej niewidziało!« to mówiąc pani Cechowa podniosła rękę i tak śmiesznouroczystą przybrała minę, iż nasze panienki znowu śmiechem parsknęły.

Przyszły one wszystkie w tak rzewnem usposobieniu; każda z półpewnym, z półniepewnym losem, z marzeniem, z nadzieją; niektóra jeszcz z niczem— tuto dopiero miało się coś wykryć, zastosować do jej położenia. Wszystkie więc w oczekiwaniu i nadziei smętne i natężone, lecz tem więcej urocze miały minki, i to się pani Cechowej bardzo podobało. Ale gdy wstęp do dzieła tak przeciwny wziął obrót, gniewna powiedziała: »jeżeli panienki śmiać się tu tylko przyszły, to niech się panienki śmieją, aż na ulicy posłyszą, a ja tu niepotrzebna« i nagle jęła za donicę z wodą. Temi słowy przestraszona Eugenia do cichości nakłoniła chichotki; zaczęły więc prosić i pochlebiać pani Cechowej, która wnet przebłagać się dała, bo wolała przecież grać rolę wieszczki w salonie, niż gdyrać w kuchni, lub opowiadać dzieje, których już nikt słuchać niechciał. Przyszło więc do stanowczej chwili.

Panny w około stół obstąpiły, na którym stały świece, donica z wodą, garnuszek z woskiem, łupki orzechowe z świeczkami i lonki. Zgodzono się powszechnie, aby nikt, nieprzepuszczony do tajemnicy, w pokoju się nieznajdował. Wygoniono i pieska i kotka; ale gdy przyszła kolej na małego Stasia, synka pani M*, któremu się te przysposobienia bardzo podobały, tyle narobił hałasu i krzyku, iż pani M* wniosła zanim prośbę, aby został na rękach niańki za ciocią, dla której jeszcze większe jak dla rózgi znał uszanowanie. Takiej prośbie odmówić nieśmiano, i Staś pozostał, mimo niechętnego spojrzenia cioci i pani Cechowej, którą, jako główną osobę tego obrazu, opisać wypada.

Pani Cechowa byłato postać z dawnych jeszcze czasów, gosposia jakich teraz mało gdzie obaczyć; wzrostu średniego, ale dobrej tuszy, czarno przenikliwych oczu, w białym, perkalowym czypku, z ogromnem, namarszczonem, okrągłem denkiem, czółkiem i skrzydełkami; kaftanik z miejska w kroju, w czarne i żółtawe pasy, chusteczka czarna pod kaftanikiem, spodnica bajowa i bielutki fartuszek, za którym założone na skórzannym rzemyku klucze niezawstydziłyby i ś. Piotra. Po obu bokach sterczały kieszenie. W nich wytroczki na gęsiem garełku, igliczka z pióra, naparstek, sztućczyk z igłami, poduszeczka ze szpilkami, nożyczki, źwierciadełko oprawione w papier, różaniec z mentalikiem ś. Aloizego Gonzagi, grzebień, tasiemki, sznurki, ołtarzyk złoty, kilka krajcarków dla dziadów i okruszki z chleba — te i podobne rupiecie, gotowe zawsze na usługi bliźniego, składały całość niepośledniej objętości kieszeń, z których powoli dobywała okularow, jakby do uzupełnienia obrazu, z któregoby Flamandczyk piękne mógł brać wzory.

Tymczasem prześliczne główki panienek schyliły się nad stolik. — Myślałbyś, iż dumna Rzymianka stoi obok skromnej Madony; tu złotą iglicą spięty warkocz Greczynki; tu niby naszej Jadwigi niedbale spuszczone kosy, i znowu wpół ujęte wyniesione, by nieuchybić modzie; tu gładziutko uczesane włoski niewinne otaczają czoło; tu znowu pukle śklącej czarności jak wióry hebanu po białej toczą się szyjce. O, to piękny, czarujący obraz; bo trzeba wyznać, iż nasze teraźniejsze mody, nienarzucając praw swych niewolniczo, nawet mniej piękną dziewicę uczynią powabną, jeżeli z gustem i do twarzy ubierać się umie. Niejeden młodzieniec byłby przepłacił tę chwilkę, by rzucić badawczem okiem w to grono. Ileż tam wabności, ile wyrazu w tych lubych twarzyczkach, które gra uczuć w różne barwy mieni — lecz nadaremnie— to tajemnicza schadzka kobiet! — Zazdrośni! wy tyle macie zgromadzeń, od których nas wyłączacie; za karę, nigdy a nigdy do tych przypuszczeni niebędziecie.

Lecz już okulary zasadzone w należytem miejscu, nadały naszej sybili bardziej kabalistyczną postać. Pani M* zapytała, czyje losy najpierwej ważyć się będą?... »Po starszemu moje panienki, po starszemu« rzekła pani Cechowa. Na te brzydkie słowa, panna Gertruda, lubo chciała i dziś jeszcze poddać się wyrokom, usunęła się na bok. Ładna Amalia uśmiechnęła się i powiedziała: »to na mnie kolej«. Amalia nie-

była w pierwszej młodości; już niejedną odrzuciła partię. Jej wyższe ukształcenie, postać urodna i mająteczek nie do odrzucenia, dozwoliły jej trochę przebierać.

»Dobrze, więc dla panny Malci zaczynam« — i wyjąwszy garnuszek z roztopionym woskiem, zaczęła po wodzie różne floresy wylewać. »Zmiłuj się, pani Cechowa« zawołała Amalia »tylko nie ulej wróbla, którego mi wszyscy obiecują«. — »Nie, nie« odrzekła uradowana wróżka, wyciągając kawałek wosku z wody — »patrzcie, patrzcie — hełmy, pancerze, szable, a tu niby ostroga zaczepiona o suknię — czy miarkujecie, czy wiecie panie, co to się z tego wyświęci?... Oto« nachyliwszy się pół zcicha rzekła« jakiś rycerz przyczepi się do panny Amalii — może na balu ostrogą rozedrze suknię, i stąd przeprosiny, znajomość, wesele. — »Ależ przecie na balu ostrog nienoszą« — »Trafi się, trafi« odrzekła z powagą »kiedy ja tak powiadam. Oto są oczywiste znamiona rycerskie« dodała, podając każdej kawałek wosku »oto hełm, oto szabla, oto jakby halabarda«. Wszystkie wpatrują się ciekawie, i widzą niby coś podobnego, jednak nie tak wyraziście jak pani Cechowa.

Amalia niezbyt była kontenta z tej przepowiedni, a figlarna Cesia, pomiarkowawszy o co idzie, rzekła: »jużto pierwszeństwo należało się prawem starszeństwa pannie Gertrudzie; gdyby to dla Malci, toby się pewnie ulała xiążka, zeszyt papieru, lub podobne jakie literackie godło... a ktoż niewie, że hełmy i halabardy u nóg panny Gertrudy hołdują?...« »I mnie się tak zdaje« rzeknie z dumą panna Gertruda, a przecież ja podobno o parę lat starsza od panny Amalii«.

Całe towarzystwo wiedziało, iż panna Gertruda od dawna wzdychała do pensiowanego kapitana, który z kawalerskiej dla dam grzeczności nieraz i jej miłem słówkiem osłodził stan panieński. Lecz biedna Amelka spuściła z tonu, sądziła bowiem, że jej uczucie tajemnicą było, a tu paplotna Cesia tajemnicę wydała. Zniechęcona odsunęła się nabok, a Cesia ani w myśli mając, iżby tem przykrość zrobiła Amalii, koniecznie i uporczywie przy tem obstawała, ażeby dla niej xiążki wylewano. Lecz pani Cechowa, chcąc utrzymać powagę swoich przepowiedni, za każdem nowem wylaniem wosku oświadczała, iż same tylko wojskowe widzi atrybuta, a xiążki, oprócz złotego ołtarzyka w swojej kieszeni, ani na stoliku, ani przy stoliku niewidzi.

Przystąpiono więc do losów innych panien; lecz taki fatalizm panował tego wieczora, iż nikomu podług życzenia niewypadło. Trzynastoletnia Cesia ciągłe walki z panią Cechową staczała; żądała koniecznie, żeby się na jej wyprawę wylewały same tylko korunki, szale, kapelusze — o płótnie, o mężu, ani sobie spomnieć niedała. Pani Cechowa uporczywie trzymała się swego zdania, że gdzie się robi wyprawa, tam musi być płótno i mąż w dodatku; co niezmiernie Cesię gniewało, gdybyto już w tym roku takie okropne proroctwo spełnić się miało — pchnęła od siebie donicę i rozdąsana siadła w kącie przy Malci.

Wylewały się tam jeszcze różne a różne rzeczy dla innych panien, lecz pani Cechowa niewszystko głośno opowiadała; czasem tylko uśmiechnęła się tajemniczo, albo szepnęła tak cicho pani M* do ucha, iż panny tylko słowo **K o l e b k a** usłyszały — i wnet wszystkie oburzone krzyknęły: »Niechcemy, niechcemy, kiedy nam pani Cechowa takie baje plecie — puszczajmy świeczki!...« i już dwa okręciki z łupy orzechowej płynęły po donicy, jak wieże bezpieczeństwa po burzliwem morzu — już Alfred i Eugenia gonią za sobą, — już już zdają się zbliżać ku sobie — lecz Alfred niestały, jakto zwykle mężczyźni, odpływa, buja sam po przestrzeni morza. Zabobonna Eugenia to blednie, to rumieni się, w miarę niestałości Alfreda; lecz ten puściwszy raz wodze swojej wolności, to wykręca się, to krąży koło Eugenii — ona spokojnie dąży za nim, i już ma cel swego dążenia osiągnąć, gdy on znowu nagłym szałem porwany, odpływa i staje u brzegu w stronie, gdzie stała piękna Berta. Eugenia, nadając w swojej wyobraźni ważności prawdy temu wydarzeniu, blednie jak kwiat lilii. Przytomna Berta, widząc zmartwienie swojej przyjaciółki, trąca nieznacznie stolikiem; łupka Alfreda poruszona tem wstrząśnieniem, odrywa się nagle od brzegu donicy i staje obok Eugenii, której świeczka już już dogorywa. »On niestały, a ja umrę ze zmartwienia« zawołała żałośnie Eugenia. Wtem zgasła jej świeczka — ona załamała ręce. Nadaremnie jej przyjaciółki i siostra starają się ją pocieszać, wystawiają dziecinność, śmieszność zabobonu — tylko pani Cechowa stoi zamyślona i smutnie kiwa głową.

Na rozweselenie towarzystwa Cesia zaproponowała puścić pannę Gertrudę z kapitanem na fale morskie. Skoro tylko puszczono tę parkę, kapitan tak walecznie się zaciął, że ani nie ruszył z miejsca. Staś, który dotąd spokojnie przypatrywał się na rękach niańki tej zabawie, pomiarkował z doświadczenia zapewne, że jeżeli się kapitan niezbliży do cioci — »bo babunia« niewolno było powiedzieć — jemu ta niefortunna okoliczność da się czuć najwięcej; chcąc tedy zapobiedz złej przygodzie, a stąd złemu humorowi

cioci, jak palnie w łupki biczykiem, który trzymał w ręce — »a do cioci stary kapitanie!« — i świeczki obie zatonęły i zgasły, woda prysła w około na nasze piękne guślarki, śmiech powszechny i zmartwienie panny Gertrudy zajęły całe zgromadzenie, nawet i Eugenia znowu śmiać się zaczęła.

»Otoż mówiłam« rzekła nieszczęśliwa Gertruda, zawsze przeszkody do spełnienia mego losu, z łaski kochanej siostrzenicy: to wypowiada swój dom moim konkurentom pod najlichszemi pozorami, to znowu, kiedy kapitan czeka stale mego tylko zbliżenia się, jakby na umyślnie zostawia tego małego psotnika, żeby zniszczył moje nadzieje. Te mężatki, jak tylko zostaną matkami, to te swoje laleczki, czy trza gdzie czy nietrza, wszędzie muszą wścibić bez względu, czyli przez to innym niesprawią zmartwienia.« — Pani M* tłumaczyła siebie i Stasia jak najlepiej mogła; nikt jej niedopomagał, bo panienki dość miały do czynienia ztrzepywaniem wody z sukienek.

Zaledwie skończyły tę robotę, już lonki w białych ich dłoniach skręcały się na lekkie gałeczki.*) Każda szeptała z cicha: to on, to ja — to on, to ja — i teraz szło wszystko przewybornie. Eugenia i Alfred, zapaleni świętym ogniem miłości, wynieśli się w powietrze i spłonęli razem. Piękna Berta z ideałem swej duszy bujała wysoko, popioły tylko ziemi się dostały. Inne także parki ślicznie dążyły za sobą; pusta, roztrzepana Cesia, zdmuchnęła siebie i swego przyszłego ze stołu; panna Gertruda, każdego roku nieszczęśliwa w lonkach, już w nich swojego losu doświadczać niechciała.

Wesołe panienki postanowiły przeznaczenia swoje poddać jeszcze pod ostatnią próbę. Chciały się dowiedzieć, która też z nich najpierwej za mąż pójdzie?... Wyznaczyły tedy metę, a uniosłszy cokolwiek długie sukienki, stawiały drobne swe nóżki jednę wprzód drugiej. Której nóżka metę przestąpi w połowie, na tę padnie los pójścia najpierwej za mąż. Panna Gertruda, którą cały wieczór zawistne prześladowały wyroki, odniosła tą razą tryumf zupełny; wielka jej noga zapewniła jej zwycięztwo, bo nietylko w połowie, lecz całą przestąpiła metę.

Powinszowania zewsząd odbierane wpędziły zapłonioną na kanapę, a jako wkrótce mającą wypełniać honory pani domu, prosiła ją pani M*, żeby dzisiaj rozdawała herbatę. Czule tę propozycię kochanej siostrzenicy przyjęła panna Gertruda, i nietylko nalewała herbatę, ale i rozlewała i oblewała, co się nie mało do dobrego humoru wszystkich przyczyniało.

*) Zwitki z kłaczków lnianego włókna, które podpalone na kształt mydlanych baniek w górę się wznoszą.

W końcu zalecała pani Cechowa, aby panieki tej nocy nie na poduszce, ale na kamieniu spały, podłożywszy pod niego imiona znajomych mężczyzn, spisane na osobnych karteczkach. Jakie się imię której przyśni, takie będzie nosił jej mąż przyszły. Panna Gertruda, chciwa wiedzieć o prawdziwem imieniu swego lubego, pobiegła wnet po kalendarz, prosząc w przechodzie pani Cechowej, żeby kazała stróżowi przynieść dla niej na poduszkę ogromny kamień, służący za mostek, którędy młodzież przechodziła. Spisano kartki, na których Zefiryn i Barnabasz zarówno figurowali, i każda z panienek pełną garść zwitków wsunęła w kieszonkę lub koszyczek. Ucałowano się czule i życzono sobie snów według marzeń i utęsknień serca — i tak zakończono ten wesoły wieczór.

Czy wszystkie panienki, tak jak panna Gertruda, na kamieniu spały?... tego niewiem. Czy przypowiednie w wiliją ś. Jędrzeja rzetelnie się ziszczą?.., same moje czytelniczki uznają, iż aż za rok dopiero będę w stanie o tem im powiedzieć.

Maria z Ch. P.

Wieniec rożowy.

Przypomniałem sobie, przed kilką dniami iż obiecałem jednemu z przyjaciol moich zwiedzić jego pracownię; tym przyjacielem był pan Wyld malarz znakomity, którego obrazy w każdorocznej wystawie ściągają na siebie powszechną uwagę. W pośród zachwycającego zbioru krajobrazów i widoków, który artysta ten przywiózł z sobą z podróży z Afryki i Włoch, zajęły mnie szczególniej pyszne widoki pięknej Wenecii, jej połyskujące pałace, i ciche, urocze laguny Florencii, tego cudownego klejnotu Włoch, i Neapolu dumnego miasta, przeglądającego się majestatycznie w zwierciadle morza. Te obrazy które właśnie nabywał bogaty amator, miały żywy koloryt, wdziek i delikatność światła, czystość rysunku któreto przymioty są właśnie cechą dzieł tego artysty. Jednakże wzrok mój odwrócił się nagle od tych trzech obrazów, a cała uwaga moja uwięzioną została przez mały portret stojący w zakątku pracowni. Byłto portret kobiety, czyli raczej młodej dziewczyny. Była ona blondynka: jej długie jasne włosy od niechcenia utrefione, spadały w nieładzie na jej ramiona. Czoło jej wieńczył różowy wieniec, lecz to czoło młodej dziewicy było raczej blade niż białe; duże błękitne oczy, nawpół otwarte, miały wyraz przygasły i jakby osłabiony a uśmiech ustom jej nadany był również

blady jak jej oblicze. — W tym wieńcu z kwiatów i tych utrefionych jasnoblond włosach, w całem tem godowem przybraniu, połączonem z owem nieskryślonem uczuciem, raczej cierpienia niż smutku, zawierało się coś czego niemogłem pojąć. — Malarz pomylił się bez wątpienia, pomyślałem sobie, a dusza jego była smutną gdy ręka kryśliła ten portret.

Wyld zbliżył się domnie, a opierając zlekka dłoń swą na mem ramieniu:

— Przypatrujesz się portretowi temu? wyrzekł.

— Tak jest, i pojmuję go, na tej twarzy niema nic wesołego choć wieniec róż na czole. Nie myślałeś o młodej dziewicy przystrojonej na gody kryśląc te rysy.

— O nie!... odrzekł; nieprawdaż mój przyjacielu iż smutno patrzeć na ten portret; lecz to co on mi przypomina smutniejszem jest jeszcze.

— W Pirenejach ujrzałem po raz pierwszy tę młodą dziewicę; była ona sierotą, powierzoną staraniom podeszłej swej krewnej; już wtedy była bardzo cierpiąca, lecz na jej twarzy chociaż bladej przebijała żywa barwa młodości i życia. Jeden z moich przyjacioł Artiur D* znajdując się o tej porze w Pirenejach, przedstawił mię w domu jej ciotki. Siostrzenica, byłato czarująca młoda osoba, pełna dowcipu, delikatności i rozsądku, nieokryślony urok błyszczał w jej spojrzeniu, pociągał w każdem jej słowie. Artinr uwiadomił mię iż od lat dziecinnych wychowani byli razem i że oddawna przez obie rodziny ułożone było ich zamęście. Następnej zimy, ujrzalem ich oboje razem na balu; gdy wszedłem do salonu tańcowała właśnie walca. O gdybyś ją wtedy widział jak była czarująca ta młoda dziewica, jak cała jej postać, jej twarz, jej oczy, jej uśmiech, wyrażał roskosz z życia, jak jej siedmnasta wiosna błyszczała na swobodnem czole, wieczna i jaśniejsza niż wieniec z róż wpleciony w jej długie blond kędziory! — Po skończonym walcu zbliżyłem się aby ją pozdrowić i podać dłoń Artiurowi.

— Szczęśliwy jestem, rzekłem, iż powinszować jej mogę zupełnego zdrowia.

— O! tak jest, odpowiedziała z wdzięcznym uśmiechem, wody w Pirenejach okazały się dla mnie bardzo skuteczne; gdyby moja ciotka niepowtarzała mi codziennie iż byłam słabą, aby mię wstrzymać od tańca, zapomniałabym o tem zupełnie.—

W kilka miesięcy po tym wieczorze, Artiur przyszedł pożegnać się ze mną; odjeżdżał on w długą podróż do Ameryki, do czego zmuszał go stan zawikłany interesów.

Pewnego wieczora około godziny szóstej, właśnie miałem wychodzić, gdy dano mi list któren zawierał tylko te słowa:

Pani M* prosi pana Wyld aby raczył się udać natychmiast do niej i wziąść ze sobą to wszystko czego potrzeba do malowania; wielce będzie mu obowiązana, jeżeli i jednej chwili nie straci.

— Pojmujesz mój przyjacielu iż nie wahałem się ani minuty; wziąwszy z sobą pudełko z farbami, pęzle i płótno, udałem się natychmiast do mieszkania pani W*. — Gdym ten list odebrał, było blisko rok od wyjazdu Artiura. Byliśmy w połowie zimy tak iż o tej dnia porze już się zupełnie zciemniło. Gdym przybył do pani W*, staruszka służąca wyrzekła do mnie na wstępie cichym głosem:

— Wejdź panie do tej izby, lecz chciej stąpać cicho, powoli; najlżejszy szelest tyle jej sprawia udręczenia!

— Wszedłem tam, a co wtedy ujrzałem mój przyjacielu, tego w życiu mem nie zapomnę.

Byłato komnata młodej dziewicy; przy oknach wisiały długie z białego muszlinu firanki, jedna na drugą założone; łóżko było również otoczone na około przezroczystą firanką, zpoza której w głębi widzieć można było na tle amarantowem duży z słoniowej kości krucyfix; gałązka palmy zawieszoną była nad krucyfixem. Zaledwie kilka kroków postąpiłem w komnacie, gdy usłyszałem zpoza firanek głos bardzo drzący i bardzo słaby, który wyrzekł: Czy to on?

— Tak jest, odpowiedziała staruszka.

Rozsunęły się firanki, a ja stanąłem tuż przy łóżku; wtedy ujrzałem podnoszącą się zwolna z poduszek, biedną głowę młodej dziewicy, bladej, wynędzniałej, skurczonej cierpieniem, z przygasłym wzrokiem i zapadłemi policzki. Dreszcz zimny przeniknął mię aż do głębi serca. Byłato dziewica z Pirenejów, dziewica z balu! Gdyby mi swego niebyła powiedziała imienia, niebyłbym jej nigdy poznał. Czy podobna, o nieba! aby ten kwiatek tak piękny i świeży tak rychło mógł uwiędnąć!...

— Dzięki ci panie żeś przyszedł, wyrzekła, podając mi dłoń gorączką rozpaloną; jamto prosiła aby napisano do pana, gdyż przypomniałam sobie że byłeś przyjacielem Artiura. Artiur, jak wiesz panie, miał mię poślubić po swoim z podróży powrocie. Bóg inaczej zrządził, niechaj się spełni święta jego wola, przyjmuję ją bez szemrania. Biedny Artiur! już go więcej nie ujrzę! Gdy on powróci już mnie tam niebędzie aby go powitać... lecz nie chciałam go porzucić, nie zostawiwszy mu po sobie pamiątki, a to jest powód dla którego wezwałem cię panie. »Joanno« dodała obra-

cając się do staruszki, przynieś więcej światła, tak ciemno w tym pokoju.

— Ależ, pani! światło cię razi i zawsze szkodzi, wiesz o tem?

— O teraz już nie, odrzekła słodkim głosem; trzeba przecież aby panu widno było do malowania.

— Pani! ozwałem się, wiesz dobrze że jestem na usługi twoje, o każdej porze kiedy ci się podobać będzie wezwiej mię; czyż nie lepiej byłoby zaczekać trochę?

— Zaczekać? — powtórzyła zwolna, przerywając mi, ja niemogę czekać.

— Gdy pani wyzdrowieje, gdyż teraz będzie to dla niej zbyt utrudzającem.

— Ah! tak... wyrzekła zwolna, jakby odpowiadając na myśl swoją, wzdrygasz się panie malować te rysy twarzy, tę, którą dziś widzisz tak wybladłą i zgasłą; smutnato pamiątka do pozostawienia przyjacielowi w upominku.... Rozumiem cię panie... lecz mogę jeszcze uśmiechać się, mogę....

— Mówiąc to zrzucała czypek okrywający jej głowę; a długie jasnoblond włosy potoczyły na jej szyję i ramiona.

— Joanno! zawołała, moja dobra Joanno! utref włosy moje, ty wiesz, jak wtedy, gdym była na balu.

— Ależ pani!

— Ach Joanno! błagam cię, powtórzyła głosem tak słodkim a razem tak drżącym, składając błagalnie swoje biedne wychudłe ręce, iż staruszka nic już nie odrzekła, i w milczeniu poczęła trefić przy skroniach blond włosy biednej dziewicy, a duże dwie łzy potoczyły się wzdłuż pooranych policzek starej kobiety; młoda cierpiąca dziewica zdawała się uśmiechać.

— Dobrze, tak! wyrzekła po chwili, taką wtedy byłam; Joanno! podaj mi ten wieniec z róż... którego nie miałam na głowie od czasu jak on odjechał, i przybliż tu lustro.

Tutaj Wyld zatrzymał się, tak boleśnem dla serca jego to wspomnienie.

— Czy wyobrażasz sobie rozdzierający ten widok, mówił dalej po kilku chwilach przestanku; ta biedna młoda dziewica tak bliska śmierci, tak blada, znękana, prawie bez głosu i siły, wycieńczona, zaledwie oddychająca pod ciężarem okrutnej trawiącej ją choroby? widzisz ją, jak ja ją widział układającą przed lustrem wieniec z kwiatów na czole swojem, wkładając go w pukle jasnych swych włosów? potem widzisz ją jeszcze podnosząca się przedemną z łoża cierpienia, z tym godowym przyborem, który w tak boleśnej był sprzeczności z tem wszystkiem co ją otaczalo? Czy widzisz ją usiłującą nadać swym oczom dawny ich połysk, zmuszającą sine i wybladłe swe usta do uśmiechu aby ukryć swoje cierpienia? Ach biedne dziecko! biedna ofiaro!... rozdzierającym był ten widok.

— Wszak dobrze tak? odezwała się do mnie... głosem przerywanym przez wysilenie, nieprawdaż? A ja niemiałem siły odpowiedzieć jej, gdyż głos mój był pełen łez, chwyciłem moje ołówki, pęzle, machinalnie, prawie niewidząc dobrze co czynię i począłem malować. Ręka moja drżała jak i serce moje. A ona, ciągle siedziała przedemną, podniesiona, prosta, silna przez wolę swoją, silna przez swą miłość, lecz można było dostrzedz od czasu do czasu przez konwulsyjne drżenie rysów jej twarzy, gwałt okrutny, który sobie zadawała; osłabione jej dłonie uginały się mimowolnie, nie mogąc utrzymać ciężaru jej ciała. Widoczny dreszcz ją przechodził, lecz usta jej uśmiechały się ciągle aby nie skłamać kwiatom jej wieńca. Nie mogłem dalej malować. Ta młoda dziewica miała więcej siły odemnie.

— Pani! odezwałem się do niej po kilkakrotnie, jesteś zmęczona, cierpisz, ja to widzę.

— Nie.... nie... odpowiadała mi głosem tak słabem, już słowa jej z trudnością mię dochodziły.... Nie porzucaj panie swych pęzlów.... mam jeszcze siłę.... maluj.... maluj pan prędko!

I biedne dziecko starało się boleść swą ukryć; i prostowała się przedemną umierająca wycieńczona; lecz uśmiechająca się.... zawsze.... zawsze się uśmiechająca.

Porwałem na powrót za pęzel, malowałem dalej. Walka dziecka tego z boleścią i chorobą była wzniosłą, szczytną. Życieto serca usiłowało panować nad życiem ciała; a gdy jej usta przestały się uśmiechać, szeptały z nich te jedyne słowa: Maluj.... maluj, pan prędko!

Nadeszła chwila w której zabrakło sił i życia razem: głowa jej pochiliła się na piersi a wieniec z kwiatów upadł na łoże. Pęzel usunął się z rąk moich; wydałem okrzyk pomimowolny i rzuciłem się na ratunek dziwicy.

Na krzyk mój przybiegła siedząca opodal w komnacie staruszka.

— O mój boże! zawołała, już jej niema! kilka chwil stałem jak w osłupieniu, potem ukląkłem, podczas gdy stara kobieta zarzucała, głośno łkając, białą zasłonę na to anielskie oblicze, które tylkoco życie opuściło, i oddaliłem się spiesznie, unosząc z sobą szkic zaczęty.

Wyld przestał mówić.

— A Artiur? zapytałem.

— O niemów mi o nim; to co mi pozostaje dodać nie jest najmniej smutną częścią bolesnego wspomnienia. — Będzie temu dwa tygodnie przyszedł on tutaj: niewiedziałem iż wrócił już z podróży. Nie śmiałem mówić mu o tym bolesnym wypadku; on rozprawiając o swej podróży, o szkicach które przywiózł z sobą, przerwał nas raz i rzekł: — Ach! czy wiesz, Wyld, ta biedna Amalia, którą pznałeś w Pyrenejach umarła. Biedne dziecko, tak była jeszcze młodą! — I począł znowu mówić o swojej podróży i obrazach które widział w mej pracowni. Szczęściem że nie postrzegł tego portretu, gdyż niechętnie byłbym mu go oddał. Nie byłożbyto zgwałceniem świętości?

Rozmaitość.

Wellington i podróżujący kupiec.

W dniu 18 czerwca 1815, wrzała zażarta bitwa, i kilka kroków od Wellingtona stał na koniu najętym młody człowiek, przypatrujący się w zadumaniu tej walce, i nie biorący żadnego w niej udziału. Czasem stawał na strzemionach, gdy chciał zdala coś zobaczyć, poczem siedział spokojnie na siodle, jakgdyby przypatrywał się grze zupełnie nic nieznaczącej; naraz zwraca się Wellington jakgdyby szukał kogo oczyma, którýby poniósł rozkazy na pewny punkt; spostrzega jeźdźca w ubiorze cywilnym, spokojnie przypatrującego się temu co się działo. Kto waćpan jesteś i co za jeden? zapytał się xiąże prędko i dobitnie. — »Zowię się Jones« odrzekł zapytany, »jadę w interesach handlu towarów norymberskich dla kompanii *Smith* i *Jenkins* w Londynie. Miałem interes w Bruxelli, tam słyszałem, że może przyjdzie do bitwy i przyjechałem tutaj, aby onej być świadkiem. Wszelako obawiam się iżbym nie utracił najętego konia, i niebył zmuszony zapłacić zań, gdyż kule aż tutaj padają; jednakże przypatrzę się tej scenie aż do końca «

— Nie zechcesz waćpan uczynić swojej ojczyznie posługi i ponieść na pewny punkt rozkazy?

— Dla czegoż nie? Nieidzie mi o to, jak się tam dostanę, ależ mi wierzyć nie będą że rozkazy przynoszę.

— Weź waćpan oto mój pierścionek, i powiedz jenerałowi ** stojącemu tam, (wskazał na pewien punkt) co waćpanu zaraz udzielę.

Podróżujący kupiec słuchał rozkazu, jechał pośród wrzawy bojowej, pomiędzy umarłych i umierających, a skutki rozkazów, które miał zanieść, dowiodły wnet Wellingtonowi, że jego niezwyczajny adjutant rzetelnie onych dopełnił. O tym awanturniczym podróżującym kupcu nic później nie było słychać. Na próżno dopytywał się xiąże Wellington o nim, i sądził że zginął.

Wiele lat upłynęło, gdy oto pewnego dnia xięciu oznajmują w Londynie, że niejaki Jones żąda z nim mówić. Dozwolono więc stawić mu się przed xięciem, który go natychmiast poznał i chciał, aby mu zdał sprawę z owego niebezpiecznego przedsiębierstwa.

Jones opowiadał, że po spełnieniu danego sobie zlecenia, był w różne strony miotany, że raz znajdował się to pomiędzy Anglikami, to znowu pomiędzy Francuzami, że stracił konia od kuli armatniej, chociaż sam nie mieszał się do bitwy, która go nic nie obchodziła. Xiąże śmiał się i zapytał go, jakim sposobem może mu wynagrodzić ową ważna przysługę. Naco odrzekł kupiec, że wszedł w spółkę z panami *Smith* i *Jenkins*, i życzy sobie, ażeby rząd chciał od nich towary kupować; innego wynadgrodzenia nie żąda. Xiąże Wellington zezwolił chętnie na to, i firma Smith, Jenkins i Jones dostarcza z tego powodu dotychczas dla wszystkich biór rządowych potrzebnych szufli od węglów.

Teatr.

Widzieliśmy na scenie naszej czteroaktową komedię Józefa Korzeniowskiego **Żydzi**. Przedstawiono ją po raz pierwszy dnia 8 grudnia. Wielkie były oczekiwania powszechności po tem, co o tej sztuce już od dawna napomykano, i nie zawiodła się w nich bynajmniej, czyto z wrażenia jakie na ogóle sprawiła, czy też z pojedyńczych zdań i szczegółowego rozbioru osnowy i postrzeżeń sądzić o tem zechcemy. Charakterystyka śmiała i wydatna jest główną zaletą tej komedii, układ zaś prosty jak tylko być może. Staroświecki człowiek dawnej daty, z godności czyli tytułu komornik, z professii dzierżawca u-bogi, stanowi to ogniwo, około którego wszystkie charaktery układają się w całość wyborną. Jestto bardzo szcześliwie zchwycony typ pewnej klasy ludzi, których grono coraz się zmniejsza. To co wyrażone w imieniu, przegląda z głębi jego duszy w słowach, wyobrażeniach i czynach. Promienie te łamią się i rozświetlają jego indywidualność przez postawienie mu w równowagę charakteru syna (Antoniego) z nowoczesną ogładą, wyobrażeniami nowszemi i zacnością duszy. Sąto więc jakby dwaj przedstawiacze dwoch wieków. Ale autor niezostawia ich w zupełnej jednego nad drugim przewadze, nierozcina mieczem gordijski węzeł, wyrzeczeniem, że co nowsze to lepsze, ani nawet na odwrót, i tem właśnie nadaje wysokie znaczenie zakreślonym przez się obrazom. Przestarzałe wyobrażenia komicznie się wprawdzie obok nowych wydają; może niejedną użyteczną skazówkę od ludzi młodych powziąć komornik; ale wielka, a bogdaj czy nie istotniejsza wartość jest w tem, czego się młodym uczyć od niego wypada. Równie mistrzowsko skreślone są inne charaktery. Aron jest typ nieidealizowany, praktyczny poczciwego żyda, do którego serca mają przystęp wszystkie szlachetniejsze uczucia; lecz ich władza ściera się twardo ze stanowiskiem, jaki ród jego w społeczności zajmuje, i najgoretszy ich wylew niezdolny jest sięgnąć poza procent lichwiarski. Tę realność zapatrywania się na świat i ludzi niemożemy dość pochwalić panu Korzeniowskiemu. Stara intrygantka Szenionowa, hrabia Ponicki z swojem uzupełnieniem Pazurkiewiczem, małoletnia xiężniczka Zofia, baron Izajewicz, lichwiarz Zadzirnoski, a nawet Goldberg i Brzydkiewicz, wszystkoto są głębiej pomyślane i wykończone charaktery, które się w przedziwną całość grupują, i niemasz nic coby się tu nie w swojem miejscu wydało. Sztukę tę przeto policzym do najlepszych tworów Korzeniowskiego, a i w literaturach obcych niewiele znaleść w owym szeregu do którego ona należy. Aktorowie nasi zadali sobie wszelką pracę, aby ją godnie wystawić, i radowałby się sam autor, gdyby był widział ich grę. Robiono uwagę w międzyaktowych przedziałach, że z Nowakowskim (grał Staroświeckiego) zstąpił do grobu kunszt przelewania w widzów tego, co w życiu dawnem najpiękniejszego znaleść się może. Ma on w swych drobnych, uciętych rzutach dziwną precyzię, a z ust jego biegną słowa, jakby się rwały od serca, i nigdy je deklamatorskie wygłoszenie nie skazi. Był on i tego wieczora roskoszą widzów. Do wybornych policzym także grę pani Aszperger. Pan Bensa był wykąpany **Aron Lewe**; niebierzem mu nawet za złe, iż niewszędzie słychać było w jego słowach akcent żydowski, bo żydzi których malował Korzeniowski, czyściej podobno mówią po polsku Pan Dawison nasunął nam uwagę, że dialogowana więcej niż dramatyzowana scena z xiegarzem lepiejby się wydała, gdyby ją spokojnie, jako owoc głębszego zastanowienia się, bez deklamatorskich przycisków i ruchów opowiedział. Pan Rudkiewicz zdawał się tą razą zapominać że z brzydotą moralną niekoniecznie chodzi w parze zaniedbana powierzchowność i gburowatość furmańska; a właśnie w pełnomocniku i doradzcy sprawek hrabiego, zmierzającym do jasnej wielmożności i przebąkującym o kapitałach, spodziewaliśmy się obaczyć więcej układności i towarzyskiej ogłady. Wyśmienita też była gra pana Słońskiego i Krupickiego, choć ten ostatni na karykaturę trochę zakrawał.

Niniejszy numer jest ostatnim z roku 1843.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.